ROZMAITOŚCI.

Dnia 21 sierpnia, Ner 34. roku 1847.

UBOGI MALARZ.

W jednym z dworków wiejskich, otaczających Marsyliję, siedziało przy kominkowym ogniu towarzystwo ze trzech osób złożone. Ponieważ one dla naszéj powieści są ważne, przeto musimy je nieco bliżej opisać. Najwydatniejszą postacią w całéj grupie był stary, chudy, wiekiem spożyty człowiek, po którego jednak żywych oczach i nieleniwych ruchach można było poznać, iż starość nie wytępiła w nim jeszcze wszelkiéj sympatyi dla uczuć młodszego wieku. Antoni Grummet trudnił się dawniéj wypożyczaniem pieniędzy, a zyskawszy na rozrzutności i marnotrawstwie swoich spółbliźnich znaczny majątek; miał dość rozsądku, aby się usunąć od interesów, zanim zdrowie jego w ich wirze do ostatka się zniszczy. Zaczém umieścił korzystnie cały kapitał, opuścił stolicę, i starał się teraz używać jaknajlepiéj owoców swych długoletnich trudów. Atoli przyzwyczajony do zgiełku stolicy, byłby pan Antoni nie mógł znieść jednostajności i nudów życia wiejskiego, gdyby był nie wywiózł z sobą z Paryża lubéj istoty, która jego stary i dość posępny dworek w raj zamienić umiała

Maryja Latour była siérotą, którę nasz spekulant za własne dziecię przybrał, a jeźli oboje mieszkanie swe z gwarnéj stolicy w zdrową nadmorską okolicę marsylską przenieśli; tedy Maryi głównie należy przypisać zasługę téj zmiany. Nie dla tego, jakoby Maryja nie lubiła Paryża — bo któraż francuzka dziéwczyna, miłująca wesołość i rozrywkę, byłaby nieprzyjaciołką téj stolicy? — lecz chcąc się staremu panu Antoniemu wywdzięczyć za uprzejmość, jaką zawsze jéj okazywał; wymogła na nim w dowód swego ku niemu przywiązania, iż pożegnał Paryż, i osiadł w pobliżu Marsylii. Tu żyli oboje z dwojgiem sług w starym, obszernym dworku o szérokich kamiennych schodach, dużych pustych komnatach, z których tylko kilka za mieszkanie im służyło. Była to, jakeśmy powiedzieli, nieco posępna dla młodéj, hożéj dziewczyny siedziba, lecz gdzie Maryja przebywała, nie mogły nudy i ponurość zagościć; ona była aniołem domu i wszystko rozweselała. Z rana słychać ją było jak ptaszek po pokojach nucącą, przez dzień zajmowała się w ogrodzie, lub grała w swojéj izdebce, a potem wziąwszy zazwyczaj słomiany kapelusik na głowę, szła po starego spekulanta, który u siebie dzienniki czytał, i rad nie rad musiał z Maryją iść na przechadzkę, zkąd wracał z apetytem, jakiego nigdy nie znał w Paryżu.

Od kilku tygodni spotykali Maryja i Antoni na tych przechadzkach zawsze jakiegoś młodego, smukłego młodzieńca, któremu niezwykle szlachetne rysy twarzy i wąs ciemny, właściwego nadawały wyrazu. Widywano go zawsze w samotnych i odległych miejscach, gdzie malownicze widoki pędzlowi artysty przedmiotów do pracy dostarczyć mogły. Gdziekolwiek stary włościański dworek romantycznie między wzgorzami się wznosił, gdziekolwiek stare rozłożyste drzewo szérokiémi konarami cień ponad młodsze pokolenie zarośli rozpościérało; wszędzie

tam można było zdybać młodego, bladego malarza, wszędzie on tam po godzinach, wykonywaniem swéj sztuki zajęty, siadywał.

Przez kilka tygodni byli Maryja i jéj opiekun niemymi lecz pełnymi podziwu i spółudziału świadkami studyjów malarza; w końcu jednak blada twarz i ciągle cicha, nieustanna praca artysty, wywarły tak silne na młodéj dziewczynie wrażenie, że pan Antoni dał się jéj nakłonić do zagajenia rozmowy z nieznajomym młodzieńcem. Malarz zdał się być uradowanym z powodu okazanego mu spółudziału; wkrótce rozwiodła się istotnie żywa rozmowa, a w ciągu jéj nadmienił młody artysta, iż jest Anglikiem, i w celach sztuki do Włoch podróżuje. Teraz zaś, jakieś niewyrażone przezeń przyczyny, wstrzymały go na dłuższy czas w Marsylii.

Te więc trzy osoby siedziały pewnego zimowego wieczora przy kominku starego spekulanta zebrane, i bawiły się pogadanką, któréj przyjemność tém słodziéj uczuwać się dawała, im zawzięciéj na dworze dżdżysta i wietrzna słota wrzała. Byłto istotnie bardzo burzliwy wieczór; wicher wstrząsał gwałtownie domem, dészcz pluskał głośno o szyby, a kominem dął przeraźliwy wiatr, i roznieciał jeszcze bardziéj płonące na kominku ognisko. Po jednéj stronie tego zacisznego kącika siedział stary pan Antoni, naprzeciw niego Edward Raymond, pomiędzy nimi oboma Maryja, podobnoś nieco bliżéj malarza niż spekulanta, lecz może to być pomyłką. Antoni nie wiele się odzywał; przeco oboje młodzi ludzie po większéj części sami rozmowę prowadzili, gdyż po sześcio-tygodniowéj znajomości zawiązała się bardzo ścisła poufałość między nimi. Pana Antoniego ujęła szczéra, bez żadnych uroszczeń uprzejmość młodego Anglika, który wkrótce stał się bardzo pożądanym przyrostkiem małego ich grona domowego.

»Pójdź pan« — rzekła doń Maryja po niedługiem milczeniu— »mój ojciec chce się przespać, a my weźmy się do szachów. Zgrałeś mię pan wczoraj w wieczór szkaradnie, muszę więc powetować.«

Edward usłuchał chętnie wezwania; rozłożono szachownicę, poustawiano figury. Przez kilka minut ciągnęła się gra w milczeniu.

»Pan jesteś bardzo zamiłowanym w swojéj sztuce« — ozwała się dziewczyna w zamyśleniu, zapominając na swoje wesołe wezwanie do gry — »jesteś niezmordowanym w swoich studyjach.«

»To mojém rzemiosłem« — odpowiedział młody artysta, a lekki rumieniec wystąpił mu na lica — »od pomyślnego skutku méj pracy zawisło całe moje utrzymanie na przyszłość. Jeźli mi się powiedzie, będę dostatnie zaopatrzonym, jeźli nie, będę żebrakiem.«

Słowa te były wymówione z nadzwyczajną dobitnością i mocném wzruszeniem, które Maryję prawie trwogą przejęło. Jéj towarzysz ozwał się daléj:

»My Anglicy nie jesteśmy wszyscy lordami; i tak ja np. chociażem znakomitego rodu potomek, i odpowiednio temu wychowany, nié mam nic prócz mego talentu, na cobym się mógł spuścić.«

»Jakże tedy —?« zapytała Maryja półgłosem, nie śmiąc dokończyć zapytania. Zdało się jéj nieprzyzwoitością, wyrazić, co myślała.

»Rozumiem pytanie pani« — odpowiedział młody malarz z gorzkim uśmiéchem. »Chciałaś mię pytać, z czegoż się utrzymuję, gdy sztuka moja wyżywić mnie jeszcze nie może. Otoż żyję z łupieży ostatków szczupłego mienia méj owdowiałéj matki. Tak, nie dziw się pani: mam dobrą, kochającą mię matkę, która ze swoich małych, zaledwie dla niéj saméj wystarczających dochodów, opędza koszta moich podróży i studyjów. Pracuję więc dzień i noc przy mojéj sztaludze; po kilku latach pobytu we Włoszech, będę może w stanie wynagrodzić jéj ofiary, które dla mnie ponosi. O, do Włoch, do Włoch! Tam mi spieszyć trzeba, i jużbym tam był teraz, lecz miałem powody zatrzymania się na jakiś czas w Marsylii; śmiészne wprawdzie powody, ale przecież powody.«

Tu oko Maryi skłoniło się na dół pod promieniem namiętnego wzroku malarza,

a pragnąc nadać inny obrót rozmowie, rzekła: »Powiedzie się panu, nie wątpię o tém; będziesz mógł godnie wynagrodzić swą matkę. Twoje talenta i twoja pilność przełamią wszelkie przeszkody.«

»Gdyby nadzieja takiémiż samémi mrzonkami mnie nie łudziła, jużbym się był dawno jako prosty ochotnik w szeregi wojskowe dał zaciągnąć, byle tylko nie być dłużéj ciężarem ubogiéj matce. Otrzymawszy wychowanie, jakie przystało na gentlemana, mającego niejakie widoki, nie posiadam oczywiście najmniejszych do czego innego zdatności.«

»Ale oprócz życzenia, jakie pan za pomocą swéj sztuki osiągnąć pragniesz; musisz jeszcze dla niéj saméj ją kochać; ona bowiem zawiéra studyjum piękna w sobie.«

»Kocham ja aż zanadto, to wszystko, co dobre i piękne« — zawołał młodzieniec, podczas gdy mu twarz jeszcze bardziéj zbladła, a całe ciało od wewnętrznego wzruszenia zadrżało. »Tak Maryjo, czemużto ujrzałem ciebie? Jeszcze przed miesiącem była mi sztuka moja wszystkiém, a zaufanie, iż położone w niéj nadzieje ziszczą się, wynagradzało mi wszystkie trudy. Byłem cierpliwym i spokojnym. Teraz powołanie moje omierzło mi; radbym być spekulantem, graczem, aby się nagle wzbogacić, i miéć prawo złożyć ci u stóp miłość moję. O, nie mów nic, Maryjo! Kocham cię! Wiém, jaka przegroda przedziela ubogiego artystę od córki bogatego bankiera. Przebacz mi, jeźli ci śmiałem wyznać moję miłość; nie mogę znieść dłużéj życia przy tobie. Wyznając, że cię kocham, już się i pożegnałem z tobą; jutro puszczam się do Włoch, i tylko o to jedno cię proszę, abyś mi przebaczyła, i niekiedy w modlitwie o mnie wspomniała.»

Poczém z żywością, która dziwnie od przybranéj odbijała spokojności, powstał Edward, jakby kapelusza szukał. Maryja podczas całych tych spiesznych oświadczeń, nie podniosła głowy; uczyniła to jednak teraz, i ze łzami w oczach uśmiéchając się, rzekła:

»Zostań Edwardzie. Gdybyś był bogatym i szczęśliwym, i starał się o moję rękę, możebym mniéj otwarcie mówiła. Dla czegoż uważasz oswiadczenie swe za obrazę? Być może, iż mój wuj.. gdyby cię wysłuchał.... Nie widzę wcale, dla czegobyś...«

Maryja nie mogła więcéj wymówić. Jéj rumieniec i łzy, były lepszą odpowiedzią, niż którakolwiek, jakąby mogła była wyrazić. Edward powrócił na swoje miejsce, przemożony wezbraniem uczucia.

»Maryją«— ozwał się poważnym głosem — »zaklinam cię, nie rób sobie igraszki ze mnie. Gdybym mniéj był ubogim, mógłbym się może spodziéwać...«

»Nie mów nic o ubóstwie« — przejęła Maryja. »Co zaś do twego odjazdu... bądź pewnym, iż towarzystwo twoje panu Antoniemu jest bardzo przyjemném «

»A czyż równie i Maryi Latour?« — przemówił malarz wzruszonym głosem, nie otrzymując długo odpowiedzi.

Nastąpiła chwila milczenia, w końcu którego głowa Maryi jakiémś tajemniczém zrządzeniem, na ramieniu młodzieńca spoczęła, podczas gdy ręce ich mimowolnie się uścisnęły.

»I mogęż miéć nadzieję twéj wzajemności?« — zapytał młody Anglik, dopiéro przed chwilą ubogi, teraz tak bogaty w nadzieję!

»Nie trać nadziei«— odszepnęła dziewczyna tak cicho, iż tylko ucho kochanka dosłyszéć mogło.

»I zechceszże mi pani za pozwoleniem opiekuna oddać swą rękę?«

»Oddam ci ja.«

—»Nigdy! Włóczęgo, oszuście, nigdy! Precz mi z mego domu, z któregobyś mi rad wydrzéć wszystko, co mi jest drogiém. Precz gadzino, mówię ci, albo« — krzyczał z wściekłością stary lichwiarz, podszedłszy młodą parę, i stojąc teraz nad nią, jak anioł zniszczenia, który najdroższe ich nadzieje do razu w nicość rozwiał.

»Wuju, ojcze!« — błagała Maryja z płaczem.

»Panie Antoni, pozwól mi pan tylko słowo!« — ozwał się Edward spokojnie i z uszanowaniem — »wytłumaczę się.»

„Ani słowa!” zagrzmiał stary. — »Precz z mego domu, albo każe cię przez moje sługi wyrzucić!”

„Oddal się pan” — prosiła Maryja młodzieńca. — »zaklinam pana o to.” — Poczém szepnęła mu ukradkiem — „już ja go uspokoję; bądź pan pewnym, wkrótce on inaczéj się namyśli!

„Czy pan sobie nie pójdziesz? „krzyknął znowuż rozjątrzony spekulant, nie mogąc się posiąść ze złości

„Odchodzę” — rzekł artysta z tajném ku Maryi spojrzeniem — „ale pragnę, abyś pan nigdy nie miał powodu żałowania tego surowego postępku. Dobranoc panie Antoni, dobranoc panno Maryjo.»

Co rzekłszy skłonił się z lekka kochance, a mając najgwałtowniejszémi uczuciami wzburzone serce, wyszedł biédny artysta powoli i z pochyloną głową z domu.

* *
*

Gdy Edward mieszkanie starego lichwiarza opuścił, słota jeszcze ciągle z równą wrzała wściekłością. Byłto wieczór, w który nawet źwierzę, a tém mniéj ludzka istota, nie miałoby było ochoty wychylić się na dwór. Atoli młody artysta owinął się w płaszcz, zasunął kapelusz na czoło, i szedł śmiało naprzód , nie wiedząc długo sam dokąd. Po upływie godziny, w ciągu ktoréj kilkakrotnie się zatrzymywał, spojrzał w około siebie i postrzegł, że się w jedném z najnędzniejszych przedmieść Marsylii znajduje. Zarazem poczuł, iż zmókł do nitki, i zaczął oglądać się za miejscem, gdzieby mógł suknie przesuszyć i posiłku dostać. Wtém niedaleko od niego dały się w dolnéj części małego domku słyszeć wesołe śpiewy, i tam więc Edward wstąpić zamierzył. Że domek ten nie zbyt powabną miał powierzchowność, bynajmniéj go nie troszczyło; byłoto bowiem témci bardziéj ze stanem jego kieski w harmonii.

Wstąpiwszy ze schyloną głową do nizkiéj, nieoświetlonéj sieni, i namacawszy drzwi dalsze, wszedł do brudnéj marynarskiéj szynkowni, gdzie zebrana była grupa ludzi, po większéj części majtków, rozmaitéj, niezbyt ujmującéj powierzchowności. Na dużym kominku pałał świéżo nałożony ogień; ku temu miejscu zbliżył się artysta śród głuchéj ciszy całego towarzystwa, które z ciekawością na przybysza patrzyło, i lękać się zdawało, czy on policyjnym nie jest ajentem. Gdy Edward płaszcz na kołku rozwiesił, i w swojéj czarnéj, aż pod szyję zapiętéj kurtce przed nimi stanął, powierzchowność jego wszystkich niejako zadziwiła. Ztémwszystkiém prowadzono daléj przerwaną na chwilę rozmowę; przy kominie stał mały stolik ze stołkiem, który artysta zajął; poczém starając się ile możności naśladować manijery swoich spółtowarzyszy, wydające mu się być godne studyjowania, kazał sobie dać lekką przekąskę, butelkę wina i sygaro, czém mu wnet usłużono.

Edward postanowił przeczekać dnia jutrzejszego, zanim o swojéj miłości zwątpi, a potém zaczął przypatrywać się bliżéj różnorodnym żywiołom, z jakich otaczające go składało się towarzystwo. U jednego stołu siedzieli czteréj weseli Francuzi, którzy żartując nieustannie przy śklance wina, zdawali się mniemać, jakby czas skrzydeł nie miał, i nigdy dla nich ulecić nie mógł. Przy drugim stole zasiadło grono poważnych Hiszpanów, którzy wszystko z pewną grandecą poczynają. Daléj byli tam jeszcze Włosi, Grecy i Niemcy. Na boku zaś, w odosobnionéj części szynkowni postrzegł Edward dwóch mężczyzn, którzy wnet uwagę jego tak mocno na się zwrócili, iż się odtąd wyłącznie tylko nimi zajmował. Jeden z nich był młody, drugi stary, obaj mieli ubiór majtków na sobie; fizyjonomija starszego znamionowała oszusta i łotra; zepsucie moralne i prostactwo malowało mu się tak wybitnie na twarzy, iż nie można było tego zapoznać, gdy nawet niekiedy łagodniejszą i pokorniejszą minę przybiérał. Twarz jego była wązka, długa i chuda, nos zakrzywiony, czoło nizkie. Najbardziéj uderzały oczy jego, mające tak przenikający wzrok, że mało kto byłby długo znieść go w stanie. Przeciwnie towarzysz jego wyglądał głupowato, i zdawał się być równie niedoświadczonym, jak był młodym. Żaden z nich ani jadł ani pił; nawet i fajki nie palili, a wciąż milczeli. Jedyném ich zajęciem w piérwszéj chwili zdawało się być podejrzliwe badanie nowo przybyłego gościa . Gdy jednak artysta żądając przekąski, czystą francuzczyzną przemówił, tak iż wszyscy za krajowca go mieli, i nasi dwaj nieznajomi uspokoili się z wolna, i mniéj na niego zważali.

Nareszcie mrugnąwszy szyderczo na swego towarzysza, ozwał się starszy po angielsku, prawdziwym londyńskim akcentem: „No, i cóż, Tom? Prawda, żeto nie bardzo przyjemna rzecz, siedzieć tu tak na sucho, bez ślanki wina, i bez dobrego słowa. Wszyscy tu jedzą i piją i weselą się, a nam nie pozostaje nic innego, jak gryść paznokcie! Niech diabli porwą takie życie!”

»Ha” — odparł drugi — „ręczę ci, że przyzwyczaiwszy się do tego, można na tém jakoś poprzestać. Bywały czasy, gdzie po całych tygodniach tylko paznokcie gryzłem.”

Edward Raymond umyślił nie wdawać się w żadną rozmowę z tymi ludźmi, lubo to byli jego rodacy, i udał, jakby ich zupełnie nie rozumiał. Starszy majtek postrzegł to z widocznem zadowoleniem, i mrugnąwszy znowuż na towarzysza, rzekł:

„Dobra nasza! Tylko jeszcze własnym jego językiem doń przemówię.” — Poczém zwrócił się

do Edwarda, i ozwał się po francuzku: »Za pozwoleniem; miałbym jedno słówko do pana.

„Słucham” — odpowiedział artysta.

»Jesteśmy ubogimi majtkami, łaskawy panie” — przemówił starszy — „i obaj razem, Tom i ja, nié mamy złamanego szeląga przy duszy, ale za to, tém dokuczliwszy apetyt...”

Edward uśmiéchnął się, i odrzekł po francuzku — którymto językiem majtek bardzo źle mówił, i według wszelkiego prawdopodobieństwa nie radby długo prowadzić konwersacyję. — »Oto są dwa franki; jeźli za to wieczerzy dostać możecie, tedy każcie ją sobie dać.”

Majtkowie podziękowali z szumną wymową, któréj chcąc koniec położyć, zabrał się Edward do swojéj własnéj wieczerzy, w czém też i oni za jego przykładem poszli. Posługacz gospodniczy wahał się zrazu przynieść zamówione przez nich posiłki, ale gdy mu skinienie Edwarda zmianę w ich okolicznościach finansowych wytłumaczyło, wnet dwie butelki wina, duże porcyje jadła i kupa tytoniu dowiodły, jak wszystko tanie jest w téj gospodzie.

Edward zadumał się nad różnémi zdarzeniami dnia dzisiejszego, i nabiérając pod łagodzącym wpływem swego sygara coraz więcéj otuchy; zaczął daleko weseléj niż dotąd o jutrze myślić, gdy wtém następna, z początku zupełnie dlań obojętna, późniéj jednak coraz chciwéj przezeń podsłuchywana rozmowa, o uszy mu się obiła.

„Za godzinę będzie czas wyruszyć na wyprawę” — rzekł starszy. „Wyśmienita pora do dzieła! Ulewa i burza jakby umyślnie dla nas zesłane.. Nikt nas nie dojrzy ani posłyszy, a jutro będziem najbogatszymi ludźmi w całéj Marsylii.”

Mówił on to gminnym akcentem angielskim, bez najmniejszéj obawy, gdyż wszelka podejrzliwość względem artysty, dawno ich już odstąpiła.

„Ale możemy też” — ozwał się drugi dalej — „dostać się za to na wieki na galery. Czyż nagroda stanie za niebezpieczeństwo?”

»Tom, nie bądź tchórzem” — przejął stary z iskrzącémi się jak dwa rozżarzone węgle oczyma. — „Wiesz, że jestem do szczętu zniszczonym, że nié mam o czém przystąpić do zielonego stolika, że od kilku tygodni o głodzie i pragnieniu w tym przybranym stroju się wałęsamy. Pieniądze Antoniego Grummet, muszą to wszystko naprawić.”

Gdyby majtkowie ujrzeli byli rysy twarzy Edwarda, byliby niezawodnie tajemnicę jego odgadli, lecz artysta obrócił się do nich plecyma, i nie ruszał się z miejsca.

„I zkądże ty Henry znasz majątek tego człowieka?”

„Cała Marsylija o nim mówi W rentach i na procencie ma stary milijony, a w gotówce przynajmniéj tyle, aby nas na całe życie zbogacić. Wywiedziałem się dokładnie o wszystkiém. Stary lichwiarz mieszka w dużym samotnym dworku o milkę od Marsylii; pieniądze chowa w swoim pokoju; nikogo nié ma w domu, oprócz jakiegoś młodego człowieka i dwóch panien. W ostatnich trzech nocach przypatrzyłem się całemu budynkowi i przekonałem się, że okienice z łatwością odjęte być mogą. Już nawet śruby cokolwiek odkręciłem.”

»I dla czegożeś mi wprzódy nic o tém nie powiedział?» — zagabnął młodszy gniewnie.

»Ponieważ potrzebnjesz zachęty, i tylko do gotowego przystąpić lubisz” — odrzekł starszy spokojnie. „Ale do rzeczy! Pistolety i maski trzeba schować do worka wraz z inémi narzędziami. Potém pójdziemy niby spać, aby wszelkiego pozoru uniknąć. Możemy łatwo wyjść późniéj, i wrócić nazad.”

To rzekłszy wstali obaj łotry, podziękowali jeszcze raz artyście, i wziąwszy światło, poszli do swéj komórki na nocleg. Edward osłupiał z zadziwienia. Po chwili rozpamiętania przypomniał sobie obudwóch jako powszechnie znanych graczów londyńskich, którzy od niejakiego czasu z stolicy zniknęli, dokąd? nikt nie wiedział, i nikt się też o to nie troszczył, wyjąwszy ich krawców i wierzycieli. Niepojętą jednak rzeczą zdało się malarzowi, znaleźć ich w téj nędznéj szynkowni, knujących zamachy kradzieży a może i morderstwa; również i to go zdumiało, że właśnie stary spekulant stał się celem ich zamierzonéj zbrodni. Wszakże młody Anglik był człowiekiem stanowczego charakteru, i w oka mgnieniu plan postępowania sobie ułożył. Najprzód przywołał posługacza, zapłacił należytość, i opuścił szynkownię. Potém wrócił do swojego mieszkania, wziął pistolety podróżne i sztylet, przeznaczony do użycia we Włoszech, i włożywszy to wszystko w przywdziany pas rzemienny, okrył się płaszczem i wyszedł na ulicę. Noc była czarna i słotna; ani księżyc, ani jedna gwiazdka nie świéciły na niebie. Edward postępował rączo naprzód, i stanął wnet na gościńcu, gdzie tylko kiedy-niekiedy się zatrzymując, aby posłuchać, czy kto za nim nie idzie; zmierzał szybkiémi kroki ku dworkowi pana Antoniego. Krocząc zaś najczęściéj po trawie, sprawiał, że chód jego nie mógł być dosłyszanym, przeco tém pilniéj naprzód pospieszał.

(Dokończenie nastąpi.)

Gość barceloński.

Grobowa cisza panowała w Barcelonie, gdy roku 1821 morowe powietrze tam grasowało. Ci, którzy niegdyś serdecznie za ręce się ściskali, teraz z dala od siebie stronili. Wszelkie węzły społeczno-

ści były zerwane; tylko jeden człowiek przedstawiał przykład nieustraszonéj odwagi, tylko jeden przechadzał się bez trwogi po bezludnych ulicach. Byłto cudzoziemiec; mieniono go kupcem z Wenecyi. Krążyła pogłoska, że wędrował pod wszystkiémi strefami, że spoczywał w cieniu palm afrykańskich i na renowych skórach Laplandyi. Osobliwszego też uroku dodawała mu sława niezmiernych bogactw.

Późnym wieczorem żegnał się René ze swoją kochaną Bianką. Dziewczyna rozstawała się smutniéj niż kiedykolwiek z kochankiem; wszakto nadzieja obaczenia się jutro, była tak niepewną, tak zwodną; najsilniejszy człowiek kończył nieraz w kilku godzinach. Bianka całowała lubego w blade czoło i poszepnęła: „Do jutra!" Siwowłosa staruszka, matka dziewczyny, poświéciła młodemu Francuzowi na schody, napominając go serdecznie, aby się miał na ostrożności, i nie ściągał na się nieszczęścia. „Toby mi tém mniéj było na rękę, że właśnie mam przy sobie 20.000 franków, które dziś po południu u różnych kupców poodbierałem" — rzekł René, i wyszedł na ulicę, gdzie ani jedna lampa nie świéciła, ani jedno stąpienie, głuchego nie przerwało milczenia.

Nazajutrz siedziała Bianka przez cały dzień przy oknie, i wyglądała kochanka. Tam na ulicy niesiono trupy za trupami. Dzień mijał, a René nie przybywał. O zachodzie słońca nadszedł woźny sądowy, i rzekł: „Zapewne państwo już wiecie?"

„Co?"

„Młody Francuz, który często u państwa bywał, dziś w nocy umarł. Dżuma prędko się zwija."

Bianka zemdlała.

»Przyszedłem tutaj" — ozwał się woźny daléj — „aby zabrać papiery, jakieby się tu przypadkiem po nim zostały. Rząd hiszpański chce w oczach zagranicy sumiennym się okazać."

„Biédny René!" westchnęła staruszka — „Biédny młodzieńcze, któryś tu po to do Barcelony przybył, aby cię dżuma zabiła!"

„Chodzi jeszcze o pieniądze, które nieboszczyk miał przy sobie" — przemówił woźny. Matka i córka nic o nich nie wiedziały, lecz wzięto je przecież na śledztwo, i uwięziono obie. Gdy jednak podejrzenie niczém udowodnioném być nie mogło, a zresztą cała rodzina zamożną i poważaną była, sędziowie zaś z obawy zarażenia się od inkwizytów, niedbale obowiązek pełnili; wkrótce matkę i corkę uwolniono.

Bianka rozpływała się we łzach za Reném. Śledztwo sądowe mało ją obchodziło Marzyła tylko o swoim zmarłym kochanku. Staruszka nie mniéj także cierpiała, i zapadła wreszcie w chorobę. Bianka, lubo sama słaba, troskliwie matkę pielęgnowała. — Księżyc bladawo przez okna świécił. — Naraz dało się słyszéć stukanie. Bianka wahała się otworzyć. Stukanie wzmogło się coraz głośniéj.

„Kto tam?" zapytała dziewczyna.

»Ostatnie pożegnanie od Renégo" — ozwało się uprzejmym głosem ze dworu.

Bianka otworzyła. Wysoka postać mężczyzny wstąpiła do pokoju. Byłto ów słynny kupiec z Wenecyi

»Wkrótce przed śmiercią" — rzekł gość tajemniczy — »kupił René u mnie sznurek pereł. Oto przynoszę go pani w drogą po nim pamiątkę!" Poczém zwrócił oczy ku spiącéj matce, i wzdrygnął się, wołając: „Dżuma! Dżuma! O, ratuj się *donna*! Uciekaj ztąd, bo za chwil kilka — zginęłaś. W dalekich moich podróżach nabyłem smutnych, niewątpliwych doświadczeń o téj chorobie."

Bianka chciała się rzucić na matkę.

Nieznajomy odepchnął ją, dotknął się ręką skroni i szyi staruszki, i rzekł głucho: „Umarła."

W istocie też — twarz posiniała, pulsa ustały. Bianka nie dała się wstrzymać, i przechyliła się nad nieboszczką. Cudzoziemiec wyprostował się, objął kościstémi palcami wiotką szyję dziewczyny, ścisnął ją — Bianka nie żyła. Co było złota i kosztowności zagarnął gość okropny do siebie. Wtém zabrzmiał nagle chrzęst broni i głos ludzi — rozwarły się drzwi, weszła mała, nędzna postać, otoczona liczną strażą, i zawołała: „Znasz mnie."

»Fernando!" krzyknął kupiec Wenecki.

»Fernando" — powtórzył wściekle nowo przybyły — „tak, Fernando, któregoś ty do zbrodni i mordów skusił; który z tobą zabijał i plądrował, z powszechnego korzystając przestrachu; który z tobą od kraju do kraju chodził, a którego ty w Algierze wprawną ręką swoją chciałeś zadusić, i mniemałeś, żeś już udusił — tento Fernando stoi téraz przed tobą, z przekleństwem tobie i sobie, gotów ponieść śmierć z ręki kata, byle tylko mógł się spodziewać, iż przez zgładzenie jednego z największych złoczyńców, dostąpi łaski w obliczu Boga."

Po kilku tygodniach został Ruberto, tak się zwał nieznajomy, na śmierć skazanym. Według własnych zeznań, zamordował i obdarł on w krajach, gdzie powietrze morowe grasowało, a trwoga mieszkańców wszelkich środków ostrożności zaniedbywała, przeszło trzysta ofiar, pomiędzy którémi i młodego Francuza. Zebrany ztąd majątek przechodził dwa milijony. Ile się go w Barcelonie znajdowało, rozdano między ubogich. Fernando nie doczekał się własnego wyroku i stracenia Roberta. Pogrążony w rozpaczy, dręczony wyrzutami sumienia, umarł śród okropnych męczarni w dni kilka po uwięzieniu straszliwego gościa Barcelońskiego.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 33ci i zawiéra: 1) Dalsze uwagi o projektach do układania warunków dzierżawy. 2) Rękodzieła. 3) Fabryki. 4) Jakie ma znaczenie ogrodnictwo i sadownictwo w gospodarstwach wiejskich, szczególniej małych. 5) O lnie i konopiach. 6) O kościach jako nawozie. 7) O tuczeniu gęsi. 8) Chléb z dyń i buraków. 9) Sztuczne kwiaty. 10) Wiadomości handlowe i przemysłowe: Śklanne i porcelanowe naczynia zawiedzione miedzią. 11)Uwiadomienie potoczne.

Zeszyt 7my *Bibliijoteki naukowego zakładu imienia Ossolińskich* zawiéra: 1) Nowiny o Chmielnickim; z rękopismow księgozbioru Ossolińskich. 2) Nieco o Kmitach Sreniawitach, przez Aleks. hr. Krasickiego. 3) Urszulą Mejerin, rozbiór Hilarego Męciszewskiego. 4) Z dramatu Panicz i Dziewczyna, przez Karola Szajnochę. 5) Liszt we Lwowie, przez Józefa Dzierzkowskiego. 6) Rozmaitości: Wystawa obrazów we Lwowie. O wystawie obrazow malarzy polskich w Rzymie. Korespondencyja.

Z Warszawy. *Bibliijoteka warszawska* za miesiąc sierpień zawiéra: 1) Miscellanea numizmatyczne. Medale za rządów Stanisława Augusta, przez Tymoteusza Lipińskiego, z tablicą medalów. 2) Uwagi nad rachunkowością gospodarstw wiejskich, przez Wilhelma Kolberga. 3) Rzut oka na dzieje i piśmiennictwo herbarstwa polskiego, przez Norberta J. Malinowskiego. 4) Życiorys Anny Roberta Jakóba Turgot, ministra Francyi za czasów Ludwika XVI, jakoteż przekład wyjątku z mowy, napisanéj na pochwałę jego przez H. Baudrillard, uwieńczonéj nagrodą przez akadamiję francuzką. Przez J. A. Chobrzyńskiego. 5) Co to jest Filozofija? przez W. Jakewicza. 6) Kronika literacka. 7) Rozmaitosci. 8) Kronika zagraniczna. 9) Kronika biblijograficzna. Doniesienia literackie. Dostrzeżenia meteorologiczne.

Nieco o starożytnym Paryżu. Za czasów Cezara należeli Paryżanie do sprzymierza sześćdziesięciu cztérech ludów, z których składała się rzeczpospolita galicka, a które razem tworzyły jedyny naród, lubo sobie wzajem bynajmniéj nie ulegały. Każdy z tych narodków miał swoje własne prawa, swoich naczelników, swoje zwierzchności, i wysyłał corocznie posłów do powszechnego zgromadzenia Galów, odbywającego się zwyczajnie w lesie pod Chartres, gdzie była siedziba najznakomitszego zboru Druidów. Najosobliwszą zaś rzeczą jest, iż zarząd cywilnych i politycznych spraw państwa powierzany bywał często senatowi zasiadającemu w Paryżu, a złożonemu **z kobiet**, które z różnych kantonów obiérano. Rajczynie te obradowały — nie jak teraźniejsze damy paryzkie o rzeczach mody — lecz o pokoju i wojnie, jakoteż o sporach, które między **vergobretami**, najwyższymi urzędnikami, lub między różnémi miastami zachodziły. Czy ta wielka rada dam galickich, o któréj Cezar i Plutarch z uszanowaniem mówią, zawsze mądrze i sprawiedliwie wyrokowała — nié ma na to historycznych dowodów. Dość zalety dla nich, że naród przez długi czas ich rządom się poddawał, i nie źle na tém wychodził. Wszelako w jednéj rzeczy chybiły dyplomatki paryzkie: — powaśniły się z Druidami, czego uczynić nie należało. Druidowie obrazili się kłótką wyrokami senatu kobiécego, i powagą swoją umieli doprowadzić do tego, iż trybunał damski zupełnie został zniesionym, a natomiast druicki ustanowiono. Teraz rzeczy odmienną postać wzięły. Władza Druidów wzniosła się wkrótce tak wysoko, iż wszystkie zgromadzenia, wszystkie obrady pod ich kierunek przeszły. Za panowania kobiét zdobyli Galowie Rzym, oblegli Kapitolium, i nie jedno zwycięztwo nad Rzymianami odnieśli; zdradą druidy Divitiac'a, który piekielnym podstępem zawiść i niezgodę pomiędzy najmożniejszémi miastami rozsiał, i przeto właśnie Cezarowi w jego zdobywczych zamiarach był pomocnym; popadli Galowie w niewolę rzymską. Bronili się wprawdzie Paryżanie z początku z męztwem rozpaczy; spalili własne siedziby, wyszli ze swojéj wyspy na Sekwanie, (o przedmieściach jeszcze natenczas nie myślano) połączonéj z lądem dwoma mostami, lękając się, aby jéj nie zdobyto; wreszcie stawili z bohatérską odwagą czoło nieprzyjacielowi. Atoli Rzymianie zwiedli ich taktycznym manewrem; stoczono morderczą bitwę pod Meudon, a Galowie zostali na głowę pobici.

Zabytki przedpotopowe. Dzienniki zagraniczne donoszą z listu radzcy stanu Nordmana z Odesy: »W przeciągu bieżącego lata odkryto w Odesie, przy ulicy wiodącéj do karantany, pod potężnym pokładem wapna, w piasku diluwijalnym, obfite łożysko skamieniałości, pomiędzy któremi: 6 rodzajów słoni, jednego rynocerusa, lofi odona, dwa rodzaje wołów, cztéry rodzaje jeleni, antylop i owiec, wreszcie niedźwiedzie, hijeny, psy, trzy ogromne koty, jakieś nieznane odżuwające źwiérzę, pośredniczące między rodzajami *bos* i *cervus* i t. d. Piérwszyto raz znaleziono w Rosyi tak bogaty skład skamieniałych kości źwiérząt czworonożnych.

Posiłki mowców parlamentowych w Anglii. Mowcy w izbach francuzkich mają zawsze przy sobie śklankę wody z cukrem, aby zaschłe gardło odwilżyć, a przy odwilżaniu zakłopotanie chwilowe ukryć, gdy nitka mowy się urwie, albo płynność myśli zastanowi się. Zaś mowcom angielskim śklanka wody jest rzeczą zbyt niedostateczną; za nimi stoi stół z różnémi napojami, zacząwszy od najkosztowniejszych win aż do likierów. Gdy lord Brougham miał ową sławną mowę na korzyść Murzynów, stał za nim w asekuracyi kosz najdoskonalszéj madery. Mowa trwała przez 6 godzin, w ciągu których musiano kosz odnowić. Pod koniec rozprawy doszła wymowa szlachetnego lorda do najwyższego stopnia. Noc skończyła się, światło gazowe ustępowało jutrzence, a izba niższa wcale niezmordowana, nie spuszczała oka z mowcy, i z największą słuchała go uwagą. Lord Brougham pełen natchnienia i madery, padł na kolana, i błagał ze łzami parlament o zniesiecie niewoli na całéj kuli ziemskiéj. Nigdy w téj izbie nie panowało większe rozczulenie; drzenie przejęło całe zgromadzenie, a wniosek mowcy został jednomyślnie przyjętym. Kto wié, może o jednę śklankę madery więcéj, a rozogniony mówca byłby już sam siebie nie zrozumiał.

Fabryka bożków w Paryżu. Wiadomą jest rzeczą, iż z tysiąca milijonów ludzi, zamieszkujących ziemię, przynajmniéj trzecia część czci królującą w Paryżu boginię mody; ale zapewne mało kto wié, że Paryżanie, nie poprzestając na swojém, nad próżnością Europejczyków wywiéranem zwierzchnictwie, od niedawnego czasu wzięli się do fabrykowania istotnych bożków dla mieszkańców średniéj i południowéj Afryki. Nad Senegalem jest, jak wiadomo, bardzo wielu

królów, którzy na nudy chorują, i jedynie dla zabicia czasu, wojny z sobą prowadzą; jeżli który z nich zwycięży, tedy wszystkie bożki, poustawiane w różnych zakątkach jego mieszkania; bywają na dwór wynoszone, głośnémi pochwałami obsypywane, tańcami i hymnami a niekiedy też ofiarami z ciał ludzkich czczone. W razie przegranéj zaś, spadają srogie przekleństwa na bożków; służba książęca zrzuca je z podstaw, gruchoce je w szczęty, a nowe bożki na ich miejsce ustawia. Taki stan rzeczy nie mógł ujść baczuości fabrykanta paryzkiego, pana Régis, handlującego z kolonią francuzką nad Senegalem. Przewidując korzyści, jakie ztąd wypływać mogą, założył w Paryżu wielką fabrykę bożków, któréj główny skład przy ulicy Beaulieu, nr. 73, ma prosty nadpis *»Dépôt de dieux africains.«* Skoro który z wymienionych książąt senegalskich klęskę poniesie, tedy co prędzéj odprawia on swoje stare bożki, a za pośrednictwem faktoryj francuzkich w Senegalu zapisuje sobie nowiutkie u pana Régis, który, nawiasowo mówiąc, nie przestaje przeto być członkiem anglikańskiego stowarzyszenia biblijnego. Liczna czeladź fabryczna pana Régis wyrzezuje z dębowego drzewa potwory z wężowémi głowami, lwiémi grzywami i tygrysiémi pazury, i przesyła je temu lub owemu książęciu afrykańskiemu, który niezwłocznie bitwę stacza, aby skuteczności bożków z fabryki pana Régis doświadczyć. Jakoż bywał pan Régis potąd bardzo szczęśliwym, i przyczynił się do wygrania przynajmniéj dwunastu bitew; przeto też monopol panteonu senegalskiego przy nim wyłącznie zostaje. Ten nowy artykuł przemysłowy sprawił wprawdzie zrazu niejakie zamieszanie w taryfie wywozowéj głównéj komory celnéj, gdzie podobnych przesyłek nie przewidziano; atoli za udaniem się w téj mierze do ministra handlu, wyszło niedawno rozporządzenie, aby do taryfy wywozowéj dodano jeszcze rubrykę: »Bożki, po 30 franków od paki.«

Odważna kobiéta. Kapitanowie okrętów handlowych w półnoenych Niemczech i Holandyi nie mają często innego majątku, prócz swego okrętu, w którym z żoną i dziećmi mieszkają, czy to już stoją w porcie, czy też po morzu żeglują. Pruski kapitan okrętowy Hesser płynął niedawno okrętem »Minerwa« z Królewca do Rygi, mając z sobą swoję młodą małżonkę i troje dzieci; cała czeladź okrętowa składała się z sternika i cztérech majtków. W burzliwéj nocy, właśnie kiedy kapitan z majtkami był na pokładzie, uderzyła »Minerwa« o bryg angielski *»The Star.«* Uderzenie to było tak mocne, że kapitan i jeden majtek rzuceni byli o bryg, ale z przytomnością i siłą wdrapali się szczęśliwie na pokład angielski; inni trzej majtkowie wpadli w morze i zniknęli, przeco została tylko żona kapitana z dziećmi, i sternik, który na nieszczęście był rannym i pracować nie mógł. W tém okropném położeniu zaczęła odważna kobiéta sama kierować okrętem, będąc oraz kapitanem, sternikiem i majtkiem — któreto wszystkie zatrudnienia były jéj tylko z przypatrywania się znane. Słowem, powiodło się jéj po 18 okropnych dniach przybyć cało w porcie Rygajskim. Sława jéj rozniosła się tam natychmiast, a zebrani w Rydze kapitanowie wybili na jéj pamiątkę medal, i złożyli jéj 1000 rubl. śr. Męża jéj z majtkiem przywiózł bryg *»Star«* do Rostoku.

Różnica między starożytną a nowożytną trajedyją jest — według Bulwera — następująca: U Greków był los główną pobudką wszelkich zbrodni i nieszczęść. Przeto nie troszczyli się Grecy wiele o anatomiję serca ludzkiego, nie potrzebowali zważać na to, aby jasno się okazało, jakiémito własnémi błędami i zdrożnościami ludzie w grzech i nieszczęścia popadają. Los zachodził im wszędzie drogę, lub zjawiał się u ich ogniska domowego jako okrutny, nieuchronny i nieprzebłagany nieprzyjaciel. Słowo wyroczni przemieniało ich w zbójców; biegąc w własną zgubę, mieli którego z bogów za przewodnika. U nas przeciwnie każda zbrodnia, wszelkie cierpienie ma w sobie samém swój początek. Wyrocznią naszą — sumienie; własne czyny stanowią o naszym losie.

Los sprawiedliwy. Pewien Niemiec uzbierawszy sobie w Filadelfii majątek sprzedażą mléka, puścił się do Europy dla zamieszkania w ojczyźnie swojéj. Dnia jednego znudzony podróżą, przedsięwziął rozerwać się miło przerachowaniem zebranych pieniędzy. W téj myśli wyniósł dwa worki na pokład okrętu, i usiadłszy w kącie, od nikogo niepostrzeżony, zabrał się do roboty, nie widząc, że siedząca na maszcie małpa przypatrywała się wszystkiemu. Zaledwie tedy jednę połowę skarbu swego przeliczył, odsunął związany worek na stronę, a wziął się do drugiego. Tymczasem ciekawością zniecierpliwiona małpa, zakradłszy się zcicha, pochwyciła zostawiony na stronie worek, i w oka mgnieniu ucicknęła z nim na wierzchołek masztu. Tam otworzyła worek przelęknionego mléczarza, i przypatrujac się błyszczącym pieniążkom, zaczęła z kolei tak długo po jednym pieniązku w morze, a po jednym na pokład zrzucać, aż póki skarbu stało. Gdy już nic w worku nie było, ozwał się zrabowany Niemiec, który tymczasem nieczynnie téj zabawie przypatrywać się musiał: »A to sam diabeł nie małpa! Jak ona wie co robi, i jak umié dzielić! Zwraca wodzie, com wodą nabył, a zachowuje dla mnie, co mi z mléka przyszło!«

Dozwolona tortura. Lafontaine zwykł był co rano jabłko pieczone jadać. Dnia pewnego położył on jedno dla ostudzenia na gzymsie od komiuka, i poszedł tymczasem do swojéj biblijoteki. W chwili po jego wyjściu, wszedł do pokoju któryś z przyjaciół poety, i zjadł jabłko. Lafontaine wrócił niebawem, i nie postrzegłszy jabłka, zmiarkował co się z niém stało. »Ktoż ruszał jabłko, co tu na gzymsie leżało?« — zawoła naraz zmieszany. »Ja go nie ruszałem« — odpowié przyjaciel. »To szczęście« — rzecze poeta — »Dla czegoż szczęście?« — »Ponieważ zaprawiłem je arszenikiem dla wytrucia niém szczurów.« — »O, nieba! arszenikiem! Zginąłem!« — krzyknął przyjaciel. »Prędko, prędko, na womity! na womity wziąć muszę!« — Uspokój się mój kochany« — przerwie Lafontaine — »Byłto tylko żart, dla dowiedzenia się, kto mi zjadł jabłko.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.